

Stracony czas?

Przełożył Miłosz Waligórski

Mój osobisty ogląd lat 1969–1989, czyli czasu tak zwanej normalizacji sprowadza się do perspektywy dziecka i dojrzewającego mężczyzny. Właśnie te dwa etapy mojego życia były ściśle związane z tamtym okresem.

Widomo, jak każdy chłopiec kurczowo broniłem swojego wewnętrznego świata z jego tajnymi skrytkami i utopijnymi wizjami. Już w dzieciństwie chętnie czytałem, miałem ulubione książki: *Przygody Nieumiałka*, *Piotruś Pan* i *Małpeczki z naszej półeczki*. Z oferty czasopism niepodzielnie królowały u mnie słowacki tygodnik „Start” i czeski „Stadion”. Interesowała mnie przede wszystkim piłka nożna, moim największym idolem był napastnik bratysławskiego Slovana Marián Masný, którego wybrałem nawet na temat szkolnego wypracowania. Z dziennika „Prawda” też ciekawiła mnie wyłącznie ostatnia strona ze sportem i wyniki pierwszej ligi piłki nożnej. O wydarzeniach politycznych w domu się raczej nie mówiło, chyba że o jej peryferiach, że jest nieuczciwa albo że ktoś za nią „siedział”. Członkostwa w organizacji pionierskiej też wtedy nie utożsamiałem z jego ideologiczną podstawą. Nasze spotkania i różne przedsięwzięcia sportowe traktowałem jako wypełnienie wolnego czasu. Nawet ślubowanie pioniera na Slavínie w trzeciej klasie podstawówki ani mnie, ani moim szkolnym kolegom nie wydawało się podejrzane. Wszyscy cieszyliśmy się z wycieczki do Bratysławy, było to dla nas coś niecodziennego, no i odpadły nam lekcje. W pamięci utkwił mi brzeg mojej pionierskiej chusty, zatopiony w musztardzie w trakcie wspólnego poczęstunku zaraz po złożeniu ślubowania. Obowiązkowej obecności na pochodzie z lampionami z okazji Wielkiego Października także nie uważałem za tragedię. Lampiony ze świeczkami z krepowego papieru oświetlały plac a przemówienia miejscowych i powiatowych działaczy niknęły w ciemnościach. Dla mnie było to wyjątkowe przeżycie wizualne, chociaż zawsze znalazł się jakiś złośnik, biegnący ze strzykawką napełnioną benzyną. Żniwem jego bojowej akcji był spalony lampion. Co szczęśliwszym udawało się tego uniknąć, mieli przerobione lampiony na baterie z żarówką. Około dwóch lat później, czyli w piątej klasie, wychowawczyni rozdała nam adresy naszych sowieckich rówieśników z prośbą, żebyśmy napisali do nich o naszej szkole, o działalności naszej organizacji pionierskiej albo o naszym mieście. Nie bardzo się do tego garnęliśmy, ale ciekawość, jaka będzie odpowiedź, była silniejsza. Od jednej dziewczyny przyszedł do mnie list z pocztówką przedstawiającą krążownik Aurora, klasowy kolega Vlado dostał nawet paczkę wyściełaną watą a w niej mały samowar, który podziwialiśmy wszyscy z uznaniem. Mniej więcej w tym samym czasie bawiliśmy się z kolegami w ulubionych bohaterów z wyjątkowo popularnego polskiego serialu telewizyjnego *Cztery pancerni i pies*. Na jakąś szkolną

uroczystość przygotowaliśmy część recytatorską i niektóre słowa, na przykład milicjant, transmisja czy pięciolecie brzmiały dla mnie dziwnie i niezrozumiale. Gwoli obiektywności należy dodać, że za kulisami stroiliśmy sobie z nich żarty i śmialiśmy się, przesuując ich znaczenia. Pamiętam, jak Skalicę odwiedził pierwszy czechosłowacki kosmonauta Vladimír Remek. Umiarkowanie rozhisteryzowany tłum napierał na czarną sześćset trzynastkę, każdy chciał zobaczyć bohatera z bliska. Zgromadzeni ludzie wyobrażali go sobie prawie jak istotę pozaziemską. Remek lekko kulił się na tylnym siedzeniu reprezentacyjnego auta, płochliwie się uśmiechał, raz po raz pokiwał i na pewno jak najszybciej chciał się wydostać poza zasięg swoich wielbicieli.

Ciekawiej zrobiło się, kiedy poszedłem do Bratysławy do szkoły średniej. Zaskoczeniem była już dla mnie neonowa reklama ze znikającą butelką alkoholu, świetne adriatyckie lody w pasażu Luxor i przede wszystkim projekcje filmów zachodniej produkcji w licznych kinach w centrum miasta. Sklep Tuzexu znałem wcześniej z morawskiego Hodonína, zapach kakao i gumy do żucia pozostał niezapomniany. Niedługo potem w centrum mojego świata stanęły miłości, knajpy, koledzy, działki za miastem, pierwsze próby własnej twórczości. Zanurzenie w tym świecie sprawiło, że niszcząca rzeczywistość polityczna w ogóle mnie nie dotyczyła, nie licząc przelotnych spotkań z nieuzasadnionym chamstwem funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. Kiedy w 1982 umarła czołowa sowiecka osobistość – Breżniew, na korytarz internatu wywołała nas poblada wychowawczyni, żeby drżącym głosem zakomunikować tę wiadomość i ostrzec, żebyśmy z naszych kasetowych magnetofonów nie puszczały głośnej muzyki. Jej smutek wydawał mi się nie na miejscu, ale następnego dnia nawet gazety obligatoryjne czerwone tytuły zastąpiły żałobno-czarnymi. W „Nowym słowie młodych” wyszły ze trzy wiersze początkujących autorów ku pamięci Breżniewa. Z czasów licealnych utkwił mi w głowie jeden epizod. Nauczyciel wychowania fizycznego i przysposobienia obronnego stosunkowo często przychodził na lekcje pod wpływem alkoholu. Nie wiem, z jakiego kaprysu, ale kiedyś dał mi zadanie, żebym z gazetki ściennej w holu na podstawie zdjęcia Jeziora Aralskiego ustalił, jaką ma ono głębookość. Wszyscy się śmialiśmy, ale on brał to na serio. Kiedy wróciłem z odpowiedzią, że nie ma tam żadnego jeziora, tylko Klement Gottwald, jego twarz gwałtownie poczerwieniała i przybrała gniewny wyraz. Walił pięścią w stół, wyzywał mnie od prowokatorów, a w pomieszczeniu nastąpiła krępująca cisza. Po lekcjach zacząłem rozważać wszystkie możliwe podteksty, które nauczyciel mógł znaleźć w mojej odpowiedzi. Później szczęśliwym trafem wpadły mi w ręce dwie powieści: *Jak smakuje władza* Mňacki i *Doktor Żywago* Pasternaka, szczególnie ta druga miała na mnie duży wpływ. Z uchem przy wschodnioniemieckim radiu podeksycytowany śledziłem relacje Wolnej Europy i cieszyłem się, kiedy wytapałem coś ze zrozumieniem. Rok przed przełomowymi wydarzeniami pojechałem do Pragi na wystawę „Skarby sztuki współczesnej” ze zbiorów fundacji Guggenheima. Zanim wszedłem do Pałacu Šternbergów, przez ponad dwie godziny listopadowego zimna stałem w kolejce bez końca. Wystawa cieszyła się ogromnym zainteresowaniem, już same nazwiska wywoływały dreszcze: Chagall, Ernst, Klee, Kupka, Kandinsky, Pollock, Picasso, Dali, Dubuffet i inni znani artyści. Byłem zachwycony

ich dziełami, ale z drugiej strony nie uszedł mojej uwagi zaparkowany tuż za pomnikiem świętego Wacława transporter opancerzony...

Odczuwalna zmiana na gorsze zaszła we wszystkich sferach kultury i sztuki. Nawet jeśli powszechnie się twierdzi, że ucisk „normalizacji” był na Słowacji łagodniejszy niż w Czechach, to i tak nie dało się przewidzieć jego stopnia. Autorów wykluczonych ze związków artystów czekały długie lata przymusowego milczenia, niepewnej egzystencji albo wyjazd na emigrację. Zakazy wyrządzały nieodwracalne szkody moralne i powodowały nagłe zerwania naturalnego rozwoju artystycznego. Najgłębsze pęknięcia pokazały się w obszarze architektury. Socjalistyczne budynki w wielu przypadkach bezwzględnie naruszyły historyczny charakter słowackich miast. Rozległe prace rozbiórkowe wymazały z map katastralnych cenne zabytkowe budynki tylko po to, żeby bezsensownie zastąpiły je monumentalne betonowe kolosy, ucieleśniające wspaniałość komunistycznych ideałów. Architektura jest przecież najbardziej wypukłym zwierciadłem swoich czasów, a jej powykrzywiana twarz świadczy o ludzkich pomyłkach.

Przeważająca część twórczości dziennikarskiej ściśle przylegała do unifikującej linii ideologii. Życie literackie zostało uszczuplone o zamknięte czasopisma „Życie Kulturalne” i „Młoda Twórczość”. Dopiero w połowie lat 80-tych zeszłego wieku dało się wyczuć świeższy powiew w postaci poetyckiego debiutu Jozefa Urbana pod tytułem *Mały wściekły Robinson*. Po nim nadeszły debiuty Koleniča, Lehenovej, Chmela, Hlatkiego i innych, którzy znacznie ożywili młodą scenę literacką. „Poglądy Słowackie” i nowo powstały „Tygodnik Literacki” odegrały ważną rolę w przygotowywaniu społeczno-demokratycznego gruntu. Również powstanie czasopisma dla młodej literatury i sztuki „Dotyki” okazało się wydarzeniem nie bez znaczenia.

Rządzące siły miały świadomość, że teatr i przede wszystkim film są skutecznym instrumentem oddziaływania na opinię publiczną, dlatego ściśle ustalały dla nich „kryteria”. Ta antytwórcza atmosfera sprzyjała produkowaniu dziesiątek gorzej niż przeciętnych filmów i inscenizacji. Zespoły muzyczne były często zakazywane z powodu angielskich nazw czy „nieodpowiednich” kostiumów albo długich włosów ich członków. Bardziej progresywna część środowiska artystycznego również spotykała się z radykalnym tłumieniem wolności wypowiedzi i musiała toczyć boje o każdy kawałek przestrzeni wystawienniczej.

Gdybym chciał być autoironiczny, powinienem napisać, że był to czas stracony pod każdym względem, ponieważ nieodwracalnie przeminął. Dla mnie osobiście do końca „stracony” ten czas nie był, w tamtym okresie tworzyło się i kształtowało moje widzenie i rozumienie świata, krystalizował się mój stosunek do podstawowych egzystencjalnych spraw. Pewnie w niektórych obszarach mogę czuć rozczarowanie niespełnieniem życiowych wyobrażeń, uwarunkowanych przecież także konkretną sytuacją społeczną, ale większych porażek udało mi się uniknąć.

Definicja prawa fizyki jest dokładna: każdy nacisk rodzi opór. Dlatego nawet w nie do zniesienia dusznej atmosferze społecznej stałym marzeniem twórczej jednostki jest utworzenie sobie własnej drogi do bezpośredniego światła. Dlatego również w czasach „normalizacji” powstały wartościowe dzieła, które dzisiaj tworzą integralną część kontekstu rozwojowego. Z drugiej strony od twórców wymagało to nadludzkiego wysiłku, żeby ten swój szlak przecierać godnymi metodami. Zaznaczę tylko, że mój wybór jest niesystematyczny i w ogóle nie rości sobie prawa do jakiegokolwiek całościowości. Z prasy tamtego okresu warto wymienić czeskie periodyki „Młody Świat”, „Czechosłowacka Fotografia” i przede wszystkim „Świat w obrazach”, który już samą formą wybiegał poza ściśle strzeżoną granicę. „Poglądy Słowackie” pod kierownictwem Reisela był szare i zbyt lojalne wobec reżimu. W „Romboidzie” co miesiąc cieszyła mnie między innymi rubryka *Małe muzeum literackich osobliwości*, w której Štefan Žáry publikował zajmujące opowieści o radościach i niedolach pisarskiego życia. W literaturze wysoko ocenić mogę Slobodę, szczególnie jego powieść *Rozum*, Balleka, Mitanę, Rakúsa, Strážaya, Heviera i innych. W sztuce filmowej wyróżnia się empatyczna postać Dušana Hanáka z jego filmami *Obrazy starego świata*, *Różowe sny*, *Ja kocham, ty kochasz*, które również po latach błyszczą jak perły. Jest tu też Elo Havetta ze swoimi *Liliami polnymi*, Dušan Trančík ze *Zwycięzcą*, Zoro Záhon z *Pomocnikiem*, Juraj Jakubisko z *Tysiącletnią pszczołą* oraz *Siedzę na konarze i jest mi dobrze*, Štefan Uher z *Kierownikiem skansenu...*

Szczytowe osiągnięcia sztuk plastycznych reprezentują Brunovský, Gažovič, Baron, Koller, Meliš, Sikora czy później Teren i Csudai. Nie wolno mi zapomnieć także o silnym i przekonującym pokoleniu fotografików: Župník, Huszár, Švolík, Stano, Stacho.

W dziedzinie muzyki jako pierwszy przychodzi mi do głowy Marián Varga, ale zaraz też Jaro Filip i autorski tandem Ursiny – Štrpka. Z teatrem kojarzą mi się niepowtarzalne przeżycia w Radošinskim Teatrze Naiwnym oraz chwile z genialną dwójką Lasica – Satinský. Ich ponadczasowy humor i jego ukryte wieloznaczne aluzje stworzyły wyspę wolności na morzu hasel i pustych deklaracji.

Tytuły czasopism

„Nowe Słowo Młodych” – „Nové slovo mladých”

„Życie Kulturalne” – „Kultúrny život”

„Młoda Twórczość” – „Mladá tvorba”

„Poglądy Słowackie” – „Slovenské pohľady”

„Tygodnik Literacki” – „Literárny týždenník”

„Młody Świat” – „Mladý svět”

„Czechosłowacka Fotografia” – „Československá fotografie”

„Świat w Obrazach” – „Svět v obrazech”